

NEFILIMOWIE
CÓRKA
KAINA

NEFILIMOWIE
CÓRKA
KAINA

MARIUSZ POPIOŁEK

Nefilimowie. Córka Kaina — Mariusz Popiołek

Copyright © by Mariusz Popiołek, 2026

Copyright © by Wydawnictwo vandom

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Redakcja: Vanessa Moździerz

Korekta: Jolanta Adamczak

Okładka: Marlena Kamińska

Ilustracje: Vanessa Moździerz

Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)

Wydanie I

Warszawa 2026

Drukarnia Abedik

Wydawnictwo vandom

(www.wydawnictwo.vandom.pl)

ISBN druk: 978-83-978007-5-5

ISBN e-book: 978-83-978007-6-2

Kamili i Piotrkowi

*Dla Was wracam do
rzeczywistości po wędrówkach
wśród meandrów wyobraźni*

L — Pamiętajcie, że Bóg stworzył Niebo, Ziemię i wszystko, co na niej żyje. To znaczy, że wcześniej musiał to zaprojektować! Czyli to Bóg był pierwszym architektem i to właśnie ten zawód jest najstarszy na świecie, a nie inny, o którym tu nie wspomnę, reprezentowany w przeważającej większości przez wątpliwych obyczajów kobiety!

Profesor Marian Górski często przemawiał jak natchniony teolog, próbując zarazić swoją pasją słuchających go studentów. Będąc od kilkunastu lat dziekanem Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej, wykształcił kilka pokoleń zdolnych — w swoim mniemaniu na pewno, według niektórych nie zawsze — inżynierów architektów.

Lidia słuchała go z lekkim uśmiechem. Był wymagający, a przez te kilka semestrów jako promotor dał się poznać z różnych stron, choć często wykazywał niemal ojcowską troskę, gdy dawał jej dobre rady. To dzięki niemu mogła teraz oficjalnie tytułować się magistrem inżynierem architektem. Jej koleżanka pewnie zaraz by ją poprawiła na magisterkę inżynierkę architektkę.

Lidia parsknęła cicho. Będzie musiała zadzwonić do Joanny i umówić się na oblanie uzyskania tytułu i — jak zwykle — przy okazji trochę pokłócić o feminatywy. Polubiły się od samego początku studiów udało im się trafić do wspólnego pokoju w akademiku. Czasem żartowały, że mogłyby być siostrami — obie blondynki, tego samego wzrostu, podobnej, szczupłej postury i nawet z takim samym brązowym kolorem oczu. W porównaniu do nieco okrągłej u Joanny,

Lidia miała bardziej owalną twarz, no i nigdy nie mogła zdecydować się na skrócenie włosów bardziej niż do połowy pleców. Uwielbiała swoje naturalne fale. Spędzała sporo czasu na czesaniu i ogólnej pielęgnacji, nie zwracając uwagi na docinki koleżanki. Bo ta hołdowała przekonaniu, że praktyczność ponad wszystko i ona w życiu nie zapuści włosów dłuższych niż do ramion, a i te momentami wydają się jej za długie.

Swoją drogą, Asia była ciekawym i mało spotykanym przypadkiem w obecnym pokoleniu. Pochodziła z bogatej rodziny i będąc jedyną, ukochaną córeczką swojego ojca, miała odziedziczyć milionową fortunę. Mimo to nie obnosiła się ze swoim stanem posiadania i nie prosiła rodziców o żadną pomoc. Twierdziła, że jeśli sama nie będzie w stanie do czegoś dojść, to tym bardziej nie da rady zarządzać dużym biznesem. Lubiła brylować w towarzystwie, jak na wyemancypowaną i pewną siebie kobietę przystało. Niezachwianie wierzyła, że można doskonale pogodzić bycie feministką z życiem w ewentualnym małżeńskim związku, w którym obie strony są zadowolone. Twierdziła, że właśnie to przyciągnęło do niej Marcina. A on, że był to purpurowy pas w brazylijskim jiu-jitsu, które wspólnie trenowali. Mimo wszystko coś w tym musiało być, ponieważ reprezentował typ męczyzny określany na pierwszy rzut oka jako blond macho. Tacy faceci raczej trzymali się z daleka od kobiet podobnych do Asi. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ciało jak spod dłuta Michała Anioła i niezmacona pewność siebie w każdym geście. Kiedyś Lidia i Asia zgodnie stwierdziły, że Marcin mógłby mieć każdą, ale z jakiegoś powodu wybrał właśnie Joannę. Lidia na szczęście nie była zazdrosna, bo miała swojego, równie przystojnego, Kazika.

I właśnie w tym momencie przyłapała się na gafie. Przecież wypadałoby dać mu znać o oficjalnym uzyskaniu tytułu, a nie myśleć tylko o drinkowaniu z Aśką. Zaraz po wyjściu z uczelni wyciągnęła telefon i szybko wybrała numer.

Po pięciu sygnałach zrezygnowała. Pewnie siedział na jakiejś rozprawie i bronił mniej lub bardziej winnego kryminalisty. Wiedziała, że nie ma sensu dobijać się do niego po kilka czy kilkanaście razy, bo zawsze oddzwaniał, kiedy tylko miał czas. Nie do końca rozumiała jego podejście do zawodu adwokata. Dlaczego wybierał tych z najgorszych klientów? Gwałty, szantaże, handel narkotykami, morderstwa, porwania i pewnie jeszcze inne przestępstwa z katalogu kodeksu karnego. Kazik twierdził, że wszyscy zasługują na sprawiedliwy proces i prawo do obrony, bo przecież nie każdy oskarżony jest winny popełnionego czynu.

Lidia oczami wyobraźni widziała, jak spokojnie jej to tłumaczy, przeczesując ręką swoją gęstą, ciemnoblonde czuprynę. Miała słabość do tego gestu i wiedział o tym doskonale. Poza salą rozpraw Kazik był najłagodniejszą osobą, jaką знаła. Jej własny młodszy Henry Cavill (ale z tego zwierzyła się tylko Joannie). Może nie aż tak umięśniony, ale absolutnie wszystko miał na swoim miejscu. Zaryzykowałaby nawet stwierdzenie, że jest idealny, ale przecież tacy ludzie nie istnieją.

No dobra, skoro to już miała z głowy, spokojnie mogła przekręcić do Aśki. Kiedyś, jak usłyszała „przekręcić”, musiała sobie wygugłać, co dokładnie to słowo oznacza. Stacjonarne telefony z obrotową tarczą! To było chyba w średniowieczu!

— Acha — usłyszała w słuchawce po kilku sekundach.

Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że dziwnie jest odbierać telefon słowem wyrażającym potwierdzenie. Niewiele osób wiedziało, że Joanna po prostu lubi czasem przedstawiać się „zgrubieniem zdrobnienia swojego imienia”.

— Hej, brzydulo! Mówi magister inżynier architekt Lidia Regucka!

— Brzmi bosko! To o której w „Wodopoju”? — Jak można było się spodziewać, Asia od razu przeszła do rzeczy.

— Może dwudziesta?

— Dawaj na dziewiętnastą, to później skoczmy jeszcze gdzieś na miasto.

— Może być. Widzimy się.

Cisza w słuchawce, kiedy słowa Lidii wybrzmiały do końca oznaczała potwierdzenie i przyjęcie ich do wiadomości. Zaprzeczająca wszelkim stereotypom długość rozmowy między dwiema przyjaciółkami wynikała z kilku cech charakteru Joanny. To nie tak, że nie lubiła plotkować przez telefon. Po prostu wiedziała, kiedy jest odpowiedni czas na odpowiednie rzeczy. Możliwe też, że właśnie w tamtym momencie miała zamiar trochę „potrenować” z Marcinem, a to był bardzo dobry powód do szybkiego zakończenia rozmowy.

Aśka przyznawała, że na macie nie może mu dorównać — poza tym, że był dużo silniejszy, posiadał brązowy pas, czyli stopień wyżej od niej. Ale dziwnym trafem w sypialni prawie zawsze udawało jej się wygrać, najczęściej wykorzystując odpowiedni moment do założenia dźwigni nadgarstkowej podczas dosiadu, kiedy uwaga prawie męża zbyttno skupiała się na jej „małych C”. Oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę, że Marcin robi to specjalnie, ale skoro obie strony korzystały...

Lidia rozejrzała się z namysłem. Do wieczora było jeszcze sporo czasu i nie miała zamiaru od razu jechać do mieszkania. Postanowiła zatrzymać się po drodze w Avenidzie i kupić sobie jakąś ciuchonagrodę za kolejny cel odhaczony na liście. Usłyszała cichy sygnał powiadomienia. „Twoja paczka czeka w paczkomacie” — przeczytała i zmarszczyła brwi, widząc pseudonim nadawcy. Tego się nie spodziewała.

Nie zdążyła schować telefonu, kiedy zagwizdał ponownie, informując o przychodzącym SMS-ie od Joanny.

„INŻYNIERKA ARCHITEKTKA!!!”

Lidia zachichotała.

2 Stał przed frontową fasadą Bazyliki Archikatedralnej pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Poznaniu i przyglądał się szczegółom budowli. Była jednym z najstarszych polskich kościołów, a jednocześnie pierwszą katedrą. Oczywiście nic nie zachowało się z dziesięciowiecznych murów, a jej wygląd przeszedł tyle zmian, że trudno było je dokładnie zliczyć.

Karol zastanawiał się dłuższą chwilę, próbował przypomnieć sobie, ile ich było. Dziewięć? Nie, dziesięć razy była przebudowywana lub odbudowywana po zniszczeniach wojennych, huraganie czy pożarach, a przynajmniej o takiej ilości prac wspomniano w kronikach. Ciekawe, czym po zakończeniu drugiej wojny światowej kierował się architekt, nadzorując ostatnie wykonane prace. Karol wyobraził sobie, jak tamten mężczyzna siedzi nad rysunkami i próbuje poskładać w całość puzzle z różnych epok. Ostatecznie stworzył spójną kompozycję, w której przeważały motywy gotyckie, a całości dopełniały klasycystyczne hełmy wież. Trzeba przyznać, że Franciszek Morawski był dobry w swoim fachu. Szkoda, że drzwi zmieniono już po jego śmierci, bo pewnie z chęcią sam dopasowałby je do swojej wizji całości.

Karol podszedł bliżej, by przyjrzeć się wytartym przez czas płaskorzeźbom przedstawiającym sceny z życia świętego Piotra. Dotknięte ciepłymi promieniami zachodzącego słońca nabrały lekko pomarańczowego odcienia. Zwerbowanie przez Jezusa na samej górze, potem co ciekawsze sceny z życiorysu i ukrzyżowanie do góry nogami na samym dole. I na tej skale ludzie zbudowali kościół.

Może raczej podkradli co ciekawsze pogańskie rytuały, pomyślał. Dodali do nich trochę nowych szczegółów, wplekli w to życie, nauczanie i śmierć Chrystusa i cyk — mamy nową wiarę.

Napis nad drzwiami głosił: „Prima sedes episcoporum poloniae” — pierwsza siedziba biskupów Polski. Swoją drogą określenie siedziby po łacinie przetrwało w bardzo ładnej formie w języku polskim: „Oto mój tron i moja siedziba! Oto mój sedes! Jam tu jest władcą!”.

Karol uśmiechnął się lekko. W chrześcijaństwie fascynowała go niezmierna ilość zapożyczeń z innych wierzeń. Choćby sama orientacja kościołów według stron świata: „[...] albowiem jak błyskawica zabłyśnie na wschodzie, a świeci aż na zachodzie, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego”¹ Oczywiście zupełnym przypadkiem większość starożytnych religii w jakiejś formie czciła potężnego boga — Słońce — pojawiającego się na wschodzie. Dawnym ludziom łatwiej było mieć większego czy mniejszego boga, strażnika różnych spraw. Ten od złych wieści, tamten od dobrych, ten od piorunów, tamten od mórz i oceanów, ten od pijaństwa, tamta od płodności, ta od domowego ogniska, tamta od polowań. Matka Ziemia, Ojciec Czas... Samo pojęcie jedyne Boga było przerażającą perspektywą. Przecież jak jeden i ten sam może zajmować się wszystkim naraz? Jak potężna musiałaby to być istota, żeby ogarnąć coś tak potwornie skomplikowanego jak ludzkie życie? A jeśli we wszechświecie gdzieś żyją kosmici, to czy też wierzą w jednego Boga? Czy to jest ten sam Bóg? Od tych rozważań wielu filozofów dostawało się ciężkiego bólu głowy. A przecież wystarczyło po prostu wierzyć i nie zastanawiać się za bardzo nad szczegółami.

— Szczęść Boże! — Wesoły głos wyrwał Karola z zadumy.

— Szczęść Boże — odpowiedział mężczyźnie, który zatrzymał się obok niego. — Przepraszam, nie zauważyłem, kiedy... ksiądz podszedł.

¹ Mt 24, 27

— Nie szkodzi. Nie chciałem przeszkadzać w rozmyślaniach, ale przez chwilę wydawało mi się, że wygląda pan, jakby potrzebował pomocy, więc w miarę możliwości chciałem zaoferować swoją.

Karol przez krótką chwilę przyjrzał się wysokiemu kapłanowi. Krótkie, kręcone blond włosy odejmowały mu lat, ale z pewnością nie miał ich mniej niż dwadzieścia sześć, może dwadzieścia siedem. Starszy mężczyzna potrafił bezbłędnie rozpoznać, czy ktoś ma szczerą intencję, czy tylko wtrąca się, bo wypada. Od młodego duchownego chęć czynienia dobra aż biła po oczach.

— Dziękuję, ale dzisiaj nie potrzebuję pomocy. Może innym razem.

— Może wejdzie pan do środka i posiedzi chwilę w ciszy? Z doświadczenia wiem, że między tymi murami myśli potrafią bardzo szybko się rozjaśniać.

Karol od razu wychwycił, że ksiądz nie zalecił mu modlitwy. Zdolny chłopak, pewnie miał silne powołanie i dobrze się w nim odnajdywał, skoro trafił do tej parafii.

— Któregoś dnia na pewno. — Delikatny uśmiech unióśł kąciki warg Karola. — Jednak dzisiaj jeszcze nie.

Ksiądz zmarszczył czoło w zamyśleniu.

— Rozumiem i nie nalegam, ale drzwi są zawsze otwarte. — Skrzywił się lekko po ostatnich słowach. — No dobrze, nie zawsze, bo na noc najczęściej zamykamy. W razie czego jednak proszę zajrzeć do kurii. — Wskazał ręką budynek po drugiej stronie ulicy. — I pytać o księdza Ariela. Tam mnie znają.

Brwi starszego mężczyzny uniosły się w niemym zaskoczeniu.

— Tata miał niezłą wyobraźnię i chyba silny dar przekonywania. — Duchowny się roześmiał.

— To... mocne imię. — Karol nie chciał mówić za wiele, ale doskonale znał znaczenie tego miana. — Wydaje się pasować do wybranego zawodu.

— No właśnie sam często się zastanawiam, czy zostałem kapłanem, bo mam tak na imię, czy rodzice mi je dali, bo chcieli, żebym został kapłanem. W każdym razie usłyszałem wezwanie i niczym Abraham odrzekłem: Oto jestem.

— Całe szczęście, że nie musiał ksiądz poświęcać syna. — Karol od razu się zmitygował. Zbyt swobodnie to zabrzmiało i mógł trącić jakąś wrażliwą nutę. Przecież w ogóle nie znał tego człowieka.

— Oj tak, ale nie wiadomo, jakie jeszcze próby są przede mną. Tak czy inaczej oferta otwartych drzwi pozostaje w mocy. Zapraszam o dowolnej porze z zastrzeżeniem, że w nocy trzeba będzie poczekać trochę dłużej na odpowiedź. — Serdeczny uśmiech nie schodził z twarzy księdza.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał niepokoić o zbyt późnej porze — odrzekł Karol. — Zapamiętam i dziękuję za ofertę. Szczęść Boże.

— Bóg zapłać. — Duchowny skłonił się lekko i odszedł w stronę budynku kurii.

Karol chwilę jeszcze stał przed majestatyczną budowlą, przyglądając się strzelistemu, ponad dziesięciometrowemu oknu. W takie dni jak ten, światło popołudniowego słońca musiało padać wprost na ołtarz, co bez wątpienia było zamysłem architekta.

Zastanowił się, czym mogła jego osoba zwrócić uwagę młodego księdza. Raczej nie wyróżniał się z tłumu — zwykły facet, lekko po czterdziestce, z kilkutygodniowym, ale zadbanym zarostem i ciemnymi włosami gęsto pokrytymi siwizną. Ktoś kiedyś powiedział mu, że wygląda na zmęczonego życiem. Może to te zmarszczki czy trochę ogorzała twarz, a może smutne spojrzenie ciemnych oczu? Ubiór raczej też nie przykuwał uwagi, bo czy dżinsy i oliwkowy T-shirt rzucają się w oczy? To strój w sam raz na ciepły, lipcowy wieczór.

Karol machnął ręką i odszedł w stronę Mostu Bolesława Chrobrego. Później, jak zwykle w drodze do domu, chciał przeciąć Park Cytadela. W głowie zaświtała mu pewna myśl, której się uchwycił. Będzie musiał wreszcie odwiedzić biuro projektowe.

3 Było dziesięć minut przed dziewiętnastą, kiedy wysiadła z tramwaju na Świętym Marcinie. Do zachodu słońca zostały jeszcze ponad dwie godziny, więc mimo wieczornej pory było jasno, ciepło i tak ładnie, jak tylko może być w lipcu. Dlatego miała na sobie biały crop top na ramiączkach i czarne, luźne bojówki. Przez ramię przerzuciła pasek od małej listonoszki. Niczego więcej nie potrzebowała na szybki wypad z przyjaciółką. Skrzyła w Gwarną koło „Sphinxa” i zobaczyła czekającą przy wejściu Joannę z nosem wetkniętym w ekran telefonu. Uśmiechnęła się i już chciała zawołać dziewczynę, kiedy ta podniosła głowę. W oczach Asi zaślniła radość, podbiegła i od razu rzuciła się Lidii na szyję, a potem pocałowała ją w policzek.

— Gratulacje, paskudo! — zawołała prosto w ucho.

— Au! Nie tak głośno!

— Hałas ci przeszkadza? Kaca będziesz mieć dopiero jutro. Dzisiaj jest piątek i świętujemy! Mówiłam ci już kiedyś, że masz za-je-bi-sty gust, jeśli chodzi o ciuchy? — Joanna wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Lidia spojrzawszy na nią, parsknęła. Ubrały się niemal identycznie. Jediną różnicą był rozmiar i kolor torebki. Joanna zawsze nosiła większe, twierdziła, że musi mieć przy sobie wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy. Znając jej możliwości, lista mogła zaczynać się od typowego długopisu, powerbanka i paczki podpasek, przechodzić przez zestaw opatrunkowy, a kończyć się na minikompresorze,

dalmierzu, paralizatorze z zapasową baterią czy komplecie uszczel-
lek do umywalki. Łatwiej było trafić szóstkę w lotto, niż odgadnąć
zawartość torebki Aśki.

— Jak kiedyś będę potrzebować lustra, to po prostu stań przede
mną i rób to co ja — stwierdziła z uśmiechem Lidia. — Wchodzimy?

Odwiedzały razem „Wodopój”, od kiedy zaczęły dzielić pokój w aka-
demiku, toteż dobrze znały obsługę i stałych bywalców.

— Co dla was będzie, siostry? — zagadnął barman, kiedy podeszły
do kontuaru.

— Cześć, Krzychu. Dla mnie jagodowe, a dla pani magisterki inży-
nierki malinowe mojito. Zaczynamy delikatnie — zaznaczyła Joanna
dobitnie i uniosła palec wskazujący. — Ale skończymy ciężko. Tylko
pilnuj, żeby żadna z nas nie wylądowała pod stołem.

— To byłby chyba pierwszy raz — odparł Krzysiek.

Od kiedy pracował w pubie nieraz widział obie dziewczyny podczas
mniejszych lub większych melanży i za każdym razem głośno wyra-
żał swój podziw dla ich nienaturalnej wręcz odporności na promile.

— Jeśli będzie pierwszy, to twój na pewno ostatni — pogroziła mu
Joanna.

— Możecie być spokojne. Przy barze czy stolik?

— Dzisiaj stolik. Mamy tematy do obgadania.

— Mamy? — zdziwiła się Lidia.

— Tak, mamy. Chodź, siadaj i czekaj na ambrozję.

O tej porze nie było jeszcze zbyt wielu gości, więc mogły spo-
kojnie usiąść w rogu sali. Joanna rzuciła torebkę na wolne krzesło
z łupnięciem świadczącym o tym, że w obecnej chwili, w środku
mogły być co najmniej dwie cegły.

— Słuchaj — zaczęła Lidia, zanim Asia zdążyła się odezwać. —
Pamiętasz tego kolesia ze śmieszną ksywką?

— HenioProsiaczek czy jakoś tak?